

## Kilka uwag o telewizji

Autor tekstu: **Bogdan Miś**

**T**ak się składa, że ostatnio oglądałem telewizji jakby więcej, niż zwykle. Co w końcu nie dziwne: starego zawodowca interesowało, jak różne stacje światowe i polskie reagują na niecodzienne bądź co bądź wydarzenie, śmierć papieża.

Dwa słowa w sprawie tego „starego zawodowca”. Wśród czytelników **Racjonalisty** przeważają - jak miemam — ludzie na tyle młodzi, by mnie z ekranu TVP nie pamiętać; w końcu, odszedłem z tej instytucji w roku 1983 (wprawdzie **pokazywałem** się potem w latach 90. i to nawet w programie cyklicznym — ale z uwagi na jego popularnonaukową tematykę i mierną, prawdę mówiąc, formę, nie zyskał on nigdy żadnej popularności). Więc uzasadnię ten zwrot, informując uprzejmie, że w telewizji spędziłem kawał życia: jako prezenter współpracujący w latach 1961-69, jako pracownik etatowy w latach 1970-1983. Byłem m. in. zastępcą naczelnego redaktora programów oświatowych, szefem programów młodzieżowych, pierwszym zastępcą dyrektora programowego; co zaś ważniejsze, otrzymałem w tych latach całkiem spory wianuszek nagród dziennikarskich za swoją robotę. Byłem w tych latach rozpoznawalny publicznie nie gorzej, niż dziś — powiedzmy pan Krzysztof Ibisz, czy panna Martyna Wojciechowska. Co piszę nie po to, by się chwalić (bo i niby czym?) — ale po to jedynie, by uzasadnić ową nazwę „zawodowca”. Wierzcie mi więc, znam się cokolwiek na tej robocie...

Co prawda, znam się „po staremu” — i nie chodzi mi tutaj o technikę (która od „moich” lat poszła do przodu wręcz nieprawdopodobnie) i tzw. warsztat, ale o same rudymenty zawodu. Technika jest zresztą sprawą całkowicie — moim zdaniem — wtórną: nie ma najmniejszego znaczenia, czy używa się do otrzymania ciekawego obrazu metody, zwanej blue-box, chroma-key, czy czegoś jeszcze innego. Nie ma znaczenia, czy mam do dyspozycji kamerę na wysięgniku, latającą na balonie, czy też jakąkolwiek inną; bowiem korzystać z tego wszystkiego można się nauczyć całkiem szybko; nie wymaga to ani jakichś specjalnych studiów, ani szczególnie ciężkiego wysiłku umysłowego. Natomiast predyspozycje, „myślenie obrazem”, biegłość językowa, umiejętność zachowania naturalności przed kamerą — to całkiem co innego. Ma się to — albo nie.

Ale w dzisiejszych czasach — od jakichś dwudziestu lat - owa technika jest jednak fetyszowana. I to MTV (która dzisiaj, na szczęście, jest już ponoć *demode*) nauczyła swoich widzów oraz realizatorów telewizyjnych pewnego charakterystycznego sposobu pokazywania wydarzeń: kamerą z ręki, z „pompowaniem” obrazu (odjazd-dojazd, odjazd-dojazd...), krzywych i chwiejnych kadrów, utrzymywania jednego kadru przez góra 4 sekundy („za moich czasów” przyjmowało się, że 8 sekund to jest minimum, zwłaszcza gdy w obrazie jest jakiś tekst do przeczytania)... Również MTV wprowadziła modę na niechlujnie ubranych dziwacznych młodych ludzi — i na totalny wygłup...

**Przestało być ważne co się mówi i pokazuje w telewizji; zaczęło być wyłącznie ważne jak się to robi; im dziwniej, śmieszniej — i, niestety, bardziej idiotycznie — tym lepiej.**

Najważniejsze: ubawić debila po same pachy; emocje też są niezłe — i do kasy!

Tej ostatniej sprawie warto poświęcić nieco głębszej refleksji. Odnoszę otóż wrażenie, że dla współczesnych mediów, specjalnie zaś elektronicznych, najważniejszą sprawą jest ten rodzaj rozbawiania widza, który na własny użytek nazywam „łaskotaniem pod pachą”. To rozbawianie, którego celem jest wywołanie nie uśmiechu, ale prostackiego rechotu; w cenie jest nie subtelny żart Jeremiego Przybory, tylko kopniak w tyłek grubej baby, z im większym plaskotem — tym lepiej. „Kto się nie bawi - nie żyje” głosi jeden z bardziej bezczelnie kretyńskich sloganów pewnej warszawskiej radiostacji czy też telewizji, pokazującej po chamsku na billboardach siedzącego na kiblu kościotrupa; trudno o dobitniejsze i bardziej wyraziste lekceważenie wszystkiego poza ową „zabawą”.

Jeśli zaś czasami — z własnej inicjatywy, lub z wynikającej z biegu wydarzeń

konieczności — podejmuje się tematykę niekoniecznie rozrywkową, czy wręcz poważną, to robi się to z reguły w sposób niesłychanie emocjonalny; mówiąc otwartym kodem — grając na emocjach i nastrojach odbiorcy wszystkimi smykami. Racjonalne, chłodne podejście do tematu jest niezwykle wręcz rzadkością. Dziennikarz jako bezstronny niezaangażowany obserwator, pomagający po prostu rozmówcy ujawnić **jego** (a nie **swoją**) osobowość — to dziś rodzaj dinozaura, żeby nie rzec skamieliny.

Wszystko to jest — z pełnią hipokryzji — motywowane na użytek PT Publiczności „troską o widza”. Bo „współczesny widz” rzekomo „jest zwolennikiem kultury obrazkowej”, bo „płaci abonament, więc ma prawo wymagać”, bo „nie ma czasu na głęboką refleksję, więc wymaga informacji w atrakcyjnej formie i zwartej treści”, „wymaga tylko pomocy w odróżnieniu zła od dobra” i tak dalej; równie „głębokich” sformułowań podejmuje się dostarczyć Państwu na tony. Innymi słowy mówiąc, nowi „teoretycy mediów” stwierdzają, że masowy widz to idiota i prymityw; pewno zresztą mają sporo racji w tej konstatacji, ale konsekwencją tego stwierdzenia winno być przecież — jak sądzę — ustawianie mu poprzeczki wymagań nieco wyżej, podciąganie go intelektualnie — nie zaś uleganie kołtuńskim nawykom półanalfabety. **Program telewizyjny powinien być — w sensie intelektualnym i artystycznym — nieco powyżej możliwości średnio inteligentnego widza; nie znacznie poniżej, jak jest dziś; takie jest moje zdanie.**

Ba, ale to godziłoby we wskaźnik, który obecnie rządzi mediami niepodzielnie: w liczebność audytorium, „słuchalność”, „oglądalność” i jak się to tam jeszcze nazywa. Ów wskaźnik ma bezpośredni wpływ na dochody z reklam: im jest wyższy, tym więcej można skasować od reklamujących się firm. Więc wszystko, co jest adresowane do nieco bardziej wyrobionej widowni — obniża dochody stacji i jest spychane na jakieś obrzeża ramówki...

Klasycznym przykładem dzisiejszych treści (przepraszam: pewno należy modnie mówić „kontentu”...) są kretyńskie quizy typu „audiotele”, w których pytanie „jak miał na imię Adam Mickiewicz” byłoby zapewne przez organizatorów odrzucone jako bardzo trudne i przesadnie wymagające zdolności kojarzenia. W tej „zabawie”, jak lubią to określać Panie-I-Panowie (nazwę ich w skrócie „pipami”) z telewizora, nie chodzi wcale o wyłonienie jakiegoś erudyty, ale o skłonienie maksymalnie wielu ludzi do dzwonięcia do telewizji na specjalny numer za ciężkie pieniądze. Cynicznie żeruje się tu na powszechnej skłonności do hazardu, oferując debilowi oprócz paru tysięcy złotych — w gruncie rzeczy do uzyskania czysto losowo — na dodatek „satisfakcję intelektualną”: bo przecież wychodzi na to, że „wiedza jest w cenie”...

## Demokratyzacja jako oszustwo

**Powtórzmy: „spełnianie wymagań widza” — to najczystsze komercyjne oszustwo, nic więcej.** Żadna „demokratyzacja przekazu”, moi drodzy.

À propos: telewizja „zdemokratyzowała” się również w tym sensie, że już niemal każdy może w niej wystąpić — i to nie tylko w charakterze uczestnika jakiegoś wydarzenia czy programu, ale jako dziennikarz, czy prezenter. Nie obowiązują już żadne wymogi co do dykcji (bełkotu wielu pip telewizyjnych po prostu nie jestem w stanie zrozumieć, również i z powodu preferowania mówienia nadmiernie szybkiego i z charakterystycznym „zaśpiewem” prowincjonalnego konferansjera...); nie obowiązuje wymóg przyzwoitego wyglądu, ubrania i zachowania...

Kilka tygodni temu oglądam na przykład tzw. „publicystykę kulturalną” (oczywiście głęboką nocą, bo ta tematyka - nawet tak „nowocześnie” podana, jak to było w tym wypadku — o wcześniejszej porze odstraszyłaby „oglądalność”). Jakiś „twórca” (przepraszam za nadużywanie cudzysłówów, ale nie da się inaczej) w brudnym podkoszulku półleży rozwalony w fotelu i drapiąc się po skudlonym łbie wystawia do kamery pachę z czarnymi kłakami...

Wręcz poczułem z ekranu zwykły smród. W dodatku dżentelmen ten nie potrafił poprawnie skonstruować zdania z podmiotem i orzeczeniem, a zamiast przecinka używał publicznie na wizji bez żenady popularnego słowa na "k".

Rozumiem, że gonienie kilkadziesiąt lat temu po korytarzach na Woronicza (kto nie wie: przy tej ulicy jest w Warszawie siedziba TVP) z nożyczkami Czesława Niemena i zakazywanie mu występu z uwagi na zbyt dużą długość uwłosienia — było przesadą. Bez wątpliwości. Ale to, co widzimy dzisiaj — jest przesadą w drugą stronę; i — moim zdaniem — ta dzisiejsza przesada jest dużo gorsza i groźniejsza w skutkach kulturowych.

Tak więc — **poziom warsztatowy, erudycję i nawet elementarną kindersztubę znakomitej większości telewizyjnych pip poddaję niniejszym w wątpliwość.** Rozumiem

oczywiście, skąd ona się bierze: otóż przed laty mieliśmy jeden program telewizyjny (potem dwa), nadawany około 12 godzin na dobę; dziś mam w kablu kilkadziesiąt stacji polskich (lub tylko polskojęzycznych) przez okrągłe 24 godziny. Odsetek rodaków uzdolnionych i w pełni nadających się (wedle dawnych kryteriów) do pracy w telewizji i w ogóle do robienia czegokolwiek publicznie — bez wątplenia nie zmienił się; ta sama liczba talentów musi więc obsłużyć dziś wielokrotnie więcej czasu. Ponieważ zaś do robienia telewizji — przy całym postępie technicznym — trzeba jednak nadal masy ludzi, więc zatrudnianie byle kogo (dobrze, jeśli na zasadzie „do pierwszej kompromitacji”) staje się po prostu koniecznością.

Stąd właśnie biorą się debilne panienki, mówiące z rozkoszną dezynwolturą „zo” zamiast „zoo” czy „akua” zamiast „akwa” (chodzi o łacińskie *aqua*), stąd tłumaczenie filmów z tak egzotycznego języka jak angielski z błędami wołającymi o natychmiastowe wybatożenie delikwenta, stąd na zbliżeniu brudne pazury prezentera...

## Ewolucja wymogów

Kilkadziesiąt lat temu jedna z naszych najpopularniejszych wówczas spikerek zapłaciła pół (nieźle już wtedy!) miesięcznej pensji kary za dość głupi w końcu błąd w odczytaniu nazwiska premiera Wielkiej Brytanii. Nieco później w ciągu jednego dnia wyleciał z pracy na zbity pysk dziennikarz sportowy, który „w euforii sprawozdawczej” powiedział „mecz zakończył się wynikiem bezbramkowym, do przerwy zaś był remis” — bo szef telewizji uznał, że nie będzie zatrudniał idiotów. I — żeby była tzw. jasność — uważam, że w obu wypadkach postąpiono słusznie! Dziś — nikt by zapewne nawet nie zwrócił na to uwagi.

Bardzo dawno temu sam uczestniczyłem w konkursie na prezentera telewizyjnego. Wymagania były w sumie takie sobie, do dziś uważam je raczej za minimalne: wyższe wykształcenie i znajomość dwóch języków oraz udział w wieloetapowym współzawodnictwie (wedle dzisiejszej terminologii „castingu”), w którym badano predyspozycje głosowe, bogactwo języka, zachowanie, refleks, inteligencję, wygląd — i wszystko to ciągnęło się około roku, bowiem kandydatów zgłosiło się sześć tysięcy. Współpracę zaproponowano... tuzinowi, z czego przez dłuższy czas można było na ekranie spotykać się z trójką z nas. W dwadzieścia lat później sam organizowałem analogiczny konkurs; tym razem mieliśmy do przebadania około dwóch tysięcy chętnych; osobowościami telewizyjnymi — cokolwiek to słowo znaczy — zostały trzy osoby, przy czym autentyczną popularność zdobyła jedna.

Niechaj te dwa wspominki zaświadczą o tym, że przed laty nie było łatwo. Przy okazji wyjaśniam, że — wbrew opiniom niektórych dzisiejszych krytyków „dawnych czasów” — najmniejszej roli nie odegrały w tych konkursach poglądy czy afiliacje polityczne kandydatów; tego w ogóle nie brano pod uwagę, to tylko potem różne beztalencia bredziły o „komuszej nomenklaturze w telewizji”.

Nawiasem mówiąc, w drugim ze wspomnianych konkursie brała udział pewna młoda (wówczas) dama, którą nasze jury jednogłośnie uznało za totalne nieporozumienie z nieusuwalną wadą wymowy; w dodatku pannica owa co i raz wpadała bez powodu w charakterystyczny nerwowy głupawy chichot, więc została odwalona na dość wstępnym etapie konkursu. Otóż po nastaniu epoki komercji ta właśnie osoba zrobiła w nowych mediach elektronicznych — i nie tylko — olśniewającą karierę; przez pewien czas miała nawet status gwiazdy, tfu.

Co więcej: ta — do dziś niezmiernie chichotliwa - podstarzała już jejmość wydaje mi się obecnie rzeczywiście całkiem niezła na tle większości współczesnych pip! Pipy są — w masie swojej — jeszcze gorsze, z której to oceny wyłączam jedynie (ale też: do pewnego tylko stopnia) kanały TVN: ta otóż telewizja komercyjna potrafi bowiem wynaleźć i zatrudnić wiele autentycznych osobowości. Można (jak ja) nie lubić różnych występujących tam stale osób, można nie akceptować lansowanej tam wyraźnie „docieklivej agresywności dziennikarskiej”, ale nie sposób odmówić im i w tej dziedzinie profesjonalizmu.

Ale nie telewizją komercyjną chciałem się zajmować w tym artykule. Ona rządzi się innymi prawami, i w jej wypadku mogę — choć z obrzydzeniem pięknoducha — zaakceptować fetysz oglądalności i podporządkowanie programu reklamie.

## Meandry (finansowe) polityki programowej

Fetysza tego w żadnym wypadku nie mogę zaakceptować w telewizji publicznej. Pogoń za

wskaźnikami — dodajmy, całkowicie cyniczna i głoszona publicznie jako zasada polityki programowej (po korytarzach TVP krąży następująca definicja **widza**: *jest to przedmiot, którego liczebność wyznacza cenę reklamy — i nic ponadto*) - otóż owa pogoń skutkuje dramatycznym spadkiem jakości intelektualnej programu, schlebieniem najniższemu gustowi, rezygnacją ze spełniania funkcji edukacyjnych i organizatorskich.

Kilka lat temu (choć sam na Woronicza od lat nie bywam, to jednak od czasu do czasu spotykam starych znajomych i co nieco do mnie dociera...) wysoki dygnitarz telewizyjny na wewnętrznym konwentyklu, poświęconym omówieniu polityki programowej, zakomunikował ponoć zebranym, że kierownictwo TVP ma następujące **wyłączne** priorytety programowe: informację, rozrywkę, sport i religię. Edukacja, wysoka kultura, nauka — to wszystko okazało się marginesem.

Krótko mówiąc, telewizja publiczna jest — moim zdaniem - ciężko chora.

Wynika ta choroba z kilku przesłanek. Po pierwsze z owego fetyszu oglądalności właśnie: abonamentu nie starcza na wydatki bieżące, więc korzystanie z reklam i sponsoringu jest niezbędne... Po drugie, z konformizmu pracowników tej firmy, ich uległości wobec przełożonych i pogoni za kasą.

Po kolei.

Na wydatki abonamentu nie starcza rzeczywistość: to fakt obiektywny, znany od samego początku telewizji; zawsze tak było. Ale czy oznacza to na przykład, że gwiazdy Publicznej muszą rzeczywiście zarabiać tak ogromne sumy, jakie zarabiają? Czy „kontrakty gwiazdorskie” muszą sięgać dziesiątków tysięcy miesięcznie plus bonusy?

Otóż jestem pewien, że nie. Wprawdzie kierownictwo TVP odpowie, że po ograniczeniu zarobków jej gwiazdy przejdą natychmiast do konkurencji, ale odpowiedź na to jest prosta: a niech idą w cholerę. Oglądalność spadnie — no to spadnie, pies z nią tańcował, przecież zakładamy, że się temu wskaźnikowi nie podporządkujemy! Znalezienie następców — no, z pewnością nie klasy Ireny Dziedzic czy Jana Suzina, ale w końcu doszliśmy do wniosku, że kryteria zostały obiektywnie zaniżone przez sam fakt upływu czasu — to kwestia dobrze zorganizowanego konkursu. Dżentelmenów nie gorszych na ekranie niż niejaki Kamel czy pań sympatyczniejszych od Schymalli znajdzie się z łatwością dobry pęczek; gwarantuję. I osoby te przyjmą zarobki pięcio- czy nawet dziesięciokrotnie mniejsze od zarobków Durczoka czy Kamela właśnie z pocałowaniem ręki...

A jeżeli po trzech latach będzie im za mało — niech i oni szukają szczęścia gdzie indziej. Zrobimy kolejny konkurs. Chętnych do pracy w Publicznej nigdy nie zbraknie, bo to ona daje popularność, „wstęp na salony” i... zainteresowanie konkurencyjnych stacji. A także bardzo istotne możliwości „dorobienia na boku” różnymi chałturami.

Więc fundusz płac Publicznej nie powinien być problemem. Wymieniam go zresztą na początku tylko dlatego, że to jest sprawa budząca emocje opinii publicznej; w budżecie Firmy wcale z pewnością nie najważniejsza.

Dużo ważniejsza jest kwestia systemu organizacji produkcji. Dziś uważa się za świętość i aksjomat tzw. system producencki. Polega on na tym, że Publiczna ogłasza konkursy na określone (przez nią) typy programów, „niezależni producenci” zgłaszają w odpowiedzi propozycje, dyrektorzy telewizyjni wybierają zaś na antenę najlepsze. Niby ma to sens, ale ja mam i co do tego poważne wątpliwości.

**Po pierwsze, system ten jest — wbrew temu, co mówią szefowie telewizji — potwornie kosztowny.** Jeśli producenci umówią się między sobą (a myślicie, że tego nie robią?), to żaden z nich nie zejdzie w wymaganiach poniżej określonej sumy, którą Publiczna będzie **musiała** zapłacić; gdyby robiła program własnymi środkami (które ma: w końcu stoi na Woronicza ogromna baza techniczna), to ona określałaby koszt. Co więcej, powszechnie mówi się, że system konkursów na programy jest czystą korupcjogenną fikcją: kto ma wygrać (w domyśle: kto podzieli się kasą z decydem lub jest jego kumplem albo wywodzi się z tej samej obory politycznej), ten wygrywa.

**Druga sprawa: konformizm twórców.** W istniejącym systemie — rzecz nie do uniknięcia. Ludzie Publicznej stałe pensje (poza gwiazdami) mają głodowe, wręcz na poziomie zasiłku dla bezrobotnych; w zasadzie cała ich egzystencja i luksus godziwego bytowania zależą od tego, czy wezmą odpowiednie honoraria — a to z kolei wynika z obecności ich dzieł lub ich samych na ekranie. Przełożeni w razie czego nie muszą nikogo zwalniać z pracy i narażać się na niemiłe ustalenia jakichś sądów pracy: wystarczy, że zdejmą program z anteny i jego twórcy już zarabiają dziesięć razy mniej. Oznacza to, że twórcy są całkowicie zależni ekonomicznie od szefa; stąd właśnie bierze się na przykład charakterystyczna dla Publicznej

huśtawka polityczno-programowa: zmienia się kierownictwo i z gorliwego „lewicowca” mamy bijącego się w piersi żarliwego katolika. Nie ma to nic wspólnego z ideowością czy przekonaniami: tam chodzi wyłącznie o kwit do kasy.

No, ale „abonamentu nie starcza”, a wyżej opisany system zapewnia jaką taką sprawność funkcjonowania instytucji; powiedzieliśmy, że to w dużej mierze prawda. Co więc zrobić?

## Leninowskie pytanie: co zrobić?

Moim zdaniem, rozwiązanie jest; i to proste, choć spotka się ono zapewne z koszmarnym oporem. Zrobmy mianowicie tak: **zabrońmy Publicznej ustawowo nadawania jakichkolwiek reklam** czy programów sponsorowanych (w ten sposób — zauważmy — przestanie ona także „psuć rynek” telewizjom komercyjnym, walcząc o reklamodawcę m. in. wielkimi upustami cen), zobowiązując jednocześnie nadawców prywatnych do przekazywania TVP — powiedzmy — jednej czwartej czy jednej piątej swoich dochodów z reklamy; ewentualnie określoną część z tych pieniędzy mogliby „komercyjni” zachować, pod warunkiem przeznaczenia ich na własne programy „misyjne”, przede wszystkim edukacyjne, którym jednak nie mogłaby towarzyszyć żadna reklama, i które musiałyby być nadawane w atrakcyjnych pasmach programowych. Z miejsca wtedy zginą idiotyczne teleturnieje, ploty o gwiazdach i „ludziach z wyższych sfer”, nadawane pęczkami amerykańskie sensacje filmowe klasy „D” i łzawe seriale...

Że wtedy Publiczna straci masę widzów? Pewno straci. Odejdzie jednak kołtun i idiota, którego interesują wyłącznie romansowe albo sensacyjne seriale, odejdzie kibol i miłośnik plot o „bohaterach czasu wolnego”...

No i dobrze. **Zostanie inteligent i zostaną z pewnością liderzy opinii**, którzy w Publicznej szukają przede wszystkim wiedzy i instruktażu; to — z punktu widzenia interesu społecznego zupełnie wystarczy.

Co więcej, twórcy telewizyjni odetchną wówczas z ulgą z jeszcze jednego powodu: kiedy kanapę przed telewizorem opuści widz masowy (darujmy sobie już epitety pod jego adresem), to dość szybko skończą się naciski polityków na program: manipulacją nim nie da się bowiem wówczas wpływać tak bardzo na preferencje wyborców. W każdym razie politycy — biorący pod uwagę w swych rozważaniach o wpływaniu na elektorat także ową nieszczęsną oglądalność — tak będą myśleli i dadzą telewizji spokój.

## Tłusta morda polityka

Tej sprawie warto też poświęcić kilka uwag. **Telewizja jest dziś uznawana za jedno z narzędzi sprawowania władzy** i stąd poddawana bardzo głębokiej penetracji politycznej. Każda partia chce mieć tam „swoich” (wbrew powszechnej opinii, że TVP jest jakoby rządzona przez SLD, w tej konkurencji przoduje od lat... PSL; od „zielonych” było na Woronicza zawsze aż gęsto, a głęby to z reguły były takie, że się słabo robi).

Nie było tak od samego początku: gdzieś do drugiej połowy lat sześćdziesiątych nikt „z wierchuszki” na telewizję specjalnie uwagi nie zwracał — i nie przypadkiem to wtedy właśnie powstawał „Kabaret Starszych Panów” i najambitniejsze spektakle Teatru Telewizji. Polityka — wówczas reprezentowana przez władze PZPR — wtargnęła do TVP z całą brutalnością na fali obrzydliwej antysemitkiej hecy marca 1968 roku.

No i zaczęło się. Tyle, że zaczęło się arcygłupio - i tak już zostało. Politycy od tamtych czasów niezmiennie uważają, że najważniejsze dla nich jest samo „bycie na ekranie”. Nie przyjmują w swoim idiotycznym samouwielbieniu do wiadomości, że rozpoznawalność — to dla kariery polityka i jego wyniku wyborczego zgoła nie wszystko. Tłusty kark spasionego wieprza ze źle związanym krawatem, bełkotliwy wrzask i czerwona od przepicia morda czy zacięte usta domorosłego Savonaroli — pokazane publicznie mogą delikwentowi całkiem poważnie zaszkodzić; i nikt, dosłownie niemal nikt nie bierze tego pod uwagę. Partie liczą sobie wyłącznie minuty i sekundy, w których ich przedstawiciele gościli na ekranie; zupełnie nie interesują się tym, **jak** oni wypadli...

Tu jeszcze jedna dygresja. Wprawdzie wpływ telewizji na zachowania ludzkie jest przeogromny, ale niedokładnie taki, jak sobie myśleli i myślą politycy. Owszem, telewizja kształtuje mody. Owszem, telewizja może wylansować piosenkarkę. Może nawet — na bardzo krótki czas — z kompletnego zera zrobić coś w rodzaju polityka czy chociażby osobę

zainteresowania publicznego (*vide* kariery różnych półgłówków z programu Big Rother).

Ale — dawno to udowodnili socjologowie i psychologowie - na **poglądy i systemy wartości** telewizja ma wpływ minimalny: może je wzmocnić lub (trochę!) osłabić, nigdy zaś **zmienić**. Gdyby nawet nadawała katolicki program „Ziarno” od rana do wieczora — i tak ateisty nie przekona; a nawet przeciwnie: tylko go zezłości. Odwrotnie: gdyby od rana do wieczora nad klerykałami pastwili się Jerzy Urban wraz z nieocenioną Olgą Lipińską, tym ostatnim bastionem prawdziwej telewizji — żaden katolik z tego powodu nie odejdzie od ołtarza; myślę, że w takiej sytuacji bardzo szybko musiałby pan Jerzy wręcz zatrudnić dodatkowych ochroniarzy...

**Zatem — nie ilość, ale przede wszystkim jakość powinna być ważna we wszelkich rozważaniach nad programem telewizji.**

Powróćmy do początku. Reakcja wszystkich stacji telewizyjnych z Publiczną na czele — i w ogóle mediów — na śmierć Jana Pawła II wywołała u nas w kraju powszechny zachwyt, w każdym razie w tzw. sferach decydenckich. Uznano, że nadając od rana do wieczora obrazy wylewanych przez gawieź kubłami łez rozpacz i deliberując nad dosłownie każdym zdaniem, wypowiedzianym kiedykolwiek przez papieża — spełniono idealnie ową mityczną Misję.

I guzik prawda. Nie sędzę, bym obracał się wyłącznie w gronach bezbożników z gatunku „osobistych wrogów Pana Boga”; wręcz przeciwnie — wielu spośród moich znajomych to ludzie głęboko wierzący; tyle, że pewno ponadprzeciętnie inteligentni i wykształceni. I otóż znakomita większość z nich uznała, że oto powtarza się historia sprzed lat kilkudziesięciu, kiedy to obchodziliśmy w nieboszczce PRL stulecie urodzin niejakiego Lenina. Modny był wówczas dowcip o tym, jak to Kowalski stał się kompletnym abnegatem: przestał być używać lodówki i żelazka, bo bał się je włączyć, żeby po raz kolejny nie usłyszeć poematu o Wielkim Wodzu Proletariatu...

Nie chcę powiedzieć, że zapewne takie podejście doprowadziło w jakiejś mierze w konsekwencji do upadku minionego ustroju; ale - kto wie?

Nie o to mi jednak chodziło, tylko o to, że można było inaczej. Pooglądałem sobie mianowicie angielską BBC i amerykański CNN. Też poświęcili mnóstwo czasu temu samemu tematowi: ale jakież to było ciekawe! Ile można się było dowiedzieć o historii — Kościoła, Rzymu, Watykanu; o obyczajach; o znaczeniu symboliki religijnej; o zapleczu politycznym dziejących się spraw...

Owszem: pojawiały się też w BBC i CNN sceny z przelewaniem łez; z reguły... retransmitowane z polskiej telewizji, jako zadziwiająca egzotyka. Ale żaden prezenter nie łkał i nie starał się widzowi narzucić żadnych emocji. Zachowywali się po prostu **profesjonalnie**.

Naturalnie — u nas natychmiast wytłumaczono to tym, że to przecież „nie są katolicy”.

Zobacz także te strony:

[O szajce rozśmieszaczy](#)

[Negatywna rola mediów](#)

[Kiedy koniec skundlenia TVP SA?](#)

[O równości kretynów](#)

[Media, zabobony i stereotypy](#)

[Kościoły i związki wyznaniowe a media](#)

[Wartości chrześcijańskie i media - OTK 7VI94](#)

### **Bogdan Miś**

Ur. 1936. Matematyk z wykształcenia; dziennikarz naukowy, nauczyciel akademicki i redaktor - z zawodu. Członek Komitetu Prognoz Polskiej Akademii Nauk "[POLSKA 2000+](#)". Wykładał - m.in. matematykę, informatykę użytkową, zasady dziennikarstwa telewizyjnego i internetowego - na Uniwersytecie Warszawskim (Wydz. Matematyki i Wydz. Dziennikarstwa), w Wyższej Szkole Ubezpieczeń i Bankowości, w Wyższej Szkole Stosunków Międzynarodowych i Amerykanistyki, w Akademii Filmu i Telewizji. Przez 25 lat pracował w TVP, ma na koncie ok. 1000 własnych programów; pełnił funkcję I zastępcy dyrektora programowego. Napisał ok. 20 książek, w większości popularnonaukowych, poświęconych matematyce i komputerom. Poza popularyzacją nauki, główną jego pasją są komputery z którymi jest, jak pisze, "zaprzyjaźniony od zawsze (tzn. od "ich zawsze)". Był programistą już przy pierwszej



polskiej maszynie XYZ w roku 1959. Był także redaktorem naczelnym "PC Magazine Po Polsku" i "Informatyki", a w stanie wojennym - "Strażaka"; kierował działem nauk ścisłych w "Problemach" oraz działem matematyki i informatyki w "Wiedzy i Życiu". Obecnie publikuje okazjonalnie w "Polityce". Jest autorem witryn internetowych, m.in. [www.wssmia.kei.pl](http://www.wssmia.kei.pl), [gbk.mi.gov.pl](http://gbk.mi.gov.pl), [prognozy.pan.pl](http://prognozy.pan.pl). Jest członkiem ISOC, Polskiego Towarzystwa Matematycznego i członkiem-założycielem Naukowego Towarzystwa Informatyki Ekonomicznej.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 01-05-2005)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4111) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4111>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz  
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.  
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)